

i NOWOCZESNOŚĆ

Bełchatowski krajobraz

CO W LEJU PISZCZY

JACEK MOJKOWSKI

W BEŁCHATOWIE niektórzy zastanawiają się czy miasto już jest w raju, czy jeszcze trochę musi poczekać. Powód do przemyśleń daje herb miasta: Adam i Ewa, wąż i jabłoń. Skąd ów „rajski” herb w Bełchatowie — dokładnie nie wiadomo. Ponoć dwa wieki temu ówczesny burmistrz Bełchatowa wyłudził go od swego kolegi z sąsiednich Grocholic podczas jakiejś suto zakrapianej libacji.

Pan Zygmunt w restauracji „Jubilatka” pończym wieczorem zadrzczał mi szepem swoją tajemnicę herbu.

— Wie Pan, na mój gust to ten wąż pewnikiem dał Ewie kawał węgla zamiast jabłka.

Pan Zygmunt byłby chyba wdzięcznym obiektem dla psychologów badających, jak wpływa na ludzką świadomość jeden temat rozmawiany non stop od czterech lat w Bełchatowie. Chodzi o brunatny węgiel.

Znalezisko

Węgiel w Bełchatowie odkryto przypadkiem, bo właściwie to w latach sześćdziesiątych namyśleń szukano po całym kraju ropy. Więc na początku nie bardzo było wiadomo, co począć z nieprzewidywanym znaleziskiem. Energetyka wówczas stała nie najgorzej, węgla kamiennego (lepszego niż brunatny) było pod dostatkiem, a do tego koszt zagospodarowania bełchatowskiego pokładu był racjonalnie niski. Sprawa odłożona ad acta, a sam Bełchatów ogarnęła zmoza milczenia na 10 lat, do czasu kryzysu surowcowo-energetycznego.

Wtedy dokonano powtórnej przyziarnki od tego największego znanego złoża węgla brunatnego w Polsce. Tym razem kalkulacja była odwrotna. Nasza energetyka coraz trudniej nadążała za potrzebami, a przemysłowe spalanie węgla kamiennego, który za granicą z powodzeniem zamieniał się w dolary, było nonsensem. Ponadto prąd i ciepło uzyskiwane na wielką skalę z jądra atomu, fal morskich, wiatrów, rzek — to w naszych warunkach przynajmniej na razie pieśń przyszłości. Pozostał zatem węgiel brunatny.

Paliwo to ma jednak to do siebie, że wydobywane tradycyjnymi sposobami górniczymi w ogóle się nie opłaca. Ma bowiem, w porównaniu z węglem kamiennym, dużo gorszą kaloryczność, co przy takich samych nakładach pracy stawia węgiel brunatny w pobitym polu. Oplaci się więc kopać węgiel brunatny nie w szybach, a metodą odkrywkową za pomocą wielkiej techniki na wielką skalę. Nie warto go też nigdzie transportować — czyli należy go przerabiać od razu w miejscu wydobycia.

Wypatrywanie węgla

Wiedź o węgla w rejonie Bełchatowa tubylicy przyjęli z radością, „że będzie praca, że można dorobić” itp. Jedno tylko powtarzało się bez ustanku: „Kiedy wreszcie zaczną kopać?” Pytanie długo pozostawało bez odpowiedzi, ale wiadomo było, że przecież kiedyś muszą. Więc miejscowi chłopcy przestali nastawiać się na rolnictwo i skoncentrowali się głównie na czekaniu. Zresztą bełchatowskie piachy i tak nie dawały większych szans na lepsze bytowanie. I wreszcie w 1975 r. Biuro Polityczne zaakceptowało decyzję o budowie Bełchatowskiego Okręgu Przemysłowego.

Na 5 tysiącach hektarów ziemi 12 tysięcy ludzi buduje kopalnię odkrywkową, elektrownię i zakłady towarzyszące. Na pierwszy ogień (w końcu 1980 roku) pojdą pola pod Bełchatowem. Spód nich wyciągać się będzie 40 mln ton węgla brunatnego rocznie. Później, po 1990 roku, górnicy wezmą się za pola Szczerowa. Bełchatowskiego węgla wystarczy na 30 lat. W generalnej dyktandzie całość przedsięwzięcia z nim związanego opisują tak: z dwóch elektrowni będzie blisko 9 tys. megawatów. To jest prawie połowa tego, co dzisiaj wytwarzają wszystkie nasze elektrownie, to są cztery Turoszowy, więcej niż amerykańskie Niagara. Bełchatów zasili obszar o promieniu 150 km, a więc jego prąd odbiorą w Warszawie, Łodzi, Katowicach, Kielcach.

Spodnie i szelki

— Spawał pan kiedy cokolwiek? — spytał mnie ktoś na budowie. — Nie? No to nie wie

pan, że to co zespawane należy sprawdzić rentgenem czy dobrze trzyma. Więc żeby sobie ułatwić robotę zamiast spawać można skręcać. Przydatne to zwłaszcza na dużych wysokościach np. przy budowie 300-metrowych kominów elektrowni.

Okazało się jednak, że sprawa ze skręcaniem wcale nie taka prosta. Gdy zwrócono się do fachowców z przemysłu o zrobotyzowanie wytrzymałości, usłyszeli: „nie ma stali, nie ma maszyn, dajcie dolary, to coś się wymyśli”. Dolarów nie dali i szukali gdzie indziej. Z pomocą łódzkiej Politechniki udało się w końcu znaleźć i krajową stal, i właściwe maszyny, które sprowadzane niegdys z zagranicy leżały gdzieś tam mocno zakurzone....

Skręca się zresztą w Bełchatowie nie tylko elementy konstrukcyjne, ale i szalunki. Było to konieczne, bo cieśli oraz drzewa w Bełchatowie jak na lekarstwo. I stąd właśnie za-

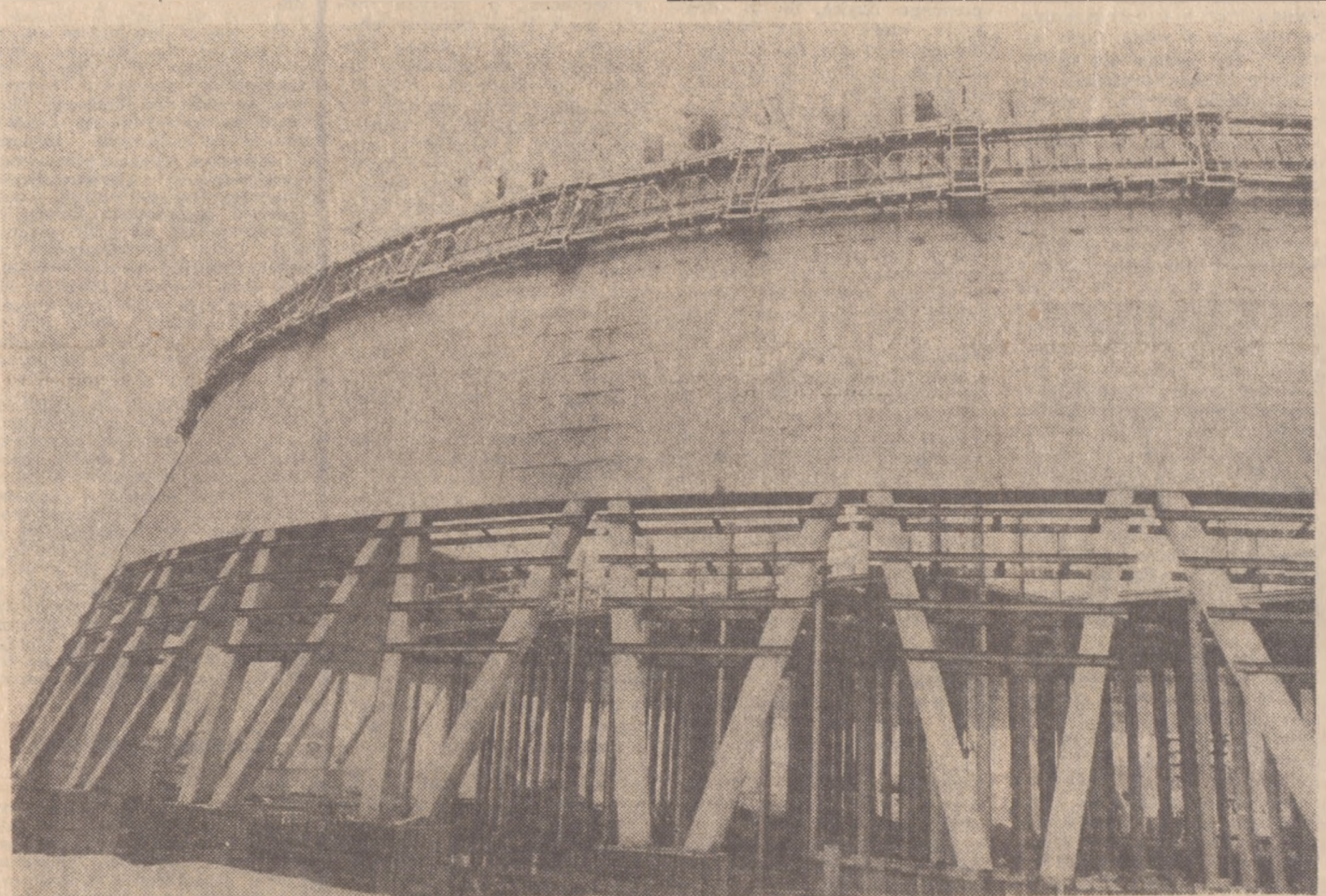
miast ciąć i zbijać dechy — skręca się stalowe szalunki.

— Wszystkim się zdaje, że ta budowa to tylko lanie betonu w formy — wtraca się do rozmowy stojący obok inżynier. — Tymczasem tu trzeba bez przerwy coś nowego kombinować. Jak mawia jeden z moich majstrów: do każdego drobiazgu należy przywiązywać uwagę jak szelki do spodni — aby uniknąć wstydu.

Śmiech i porozumiewawcze oczka.

Ale na dobrą sprawę bardziej od śmiechu rzecz wymaga powagi. Żeby dostać się do węgla, trzeba przewrócić do góry nogami ponad 150 mln m sześć, ziemi. W przyszłości będzie tam chyba największa sztuczna dziura w Polsce. Głęboka na 200 m. Do jej kopania sprowadzono z RFN dwie gigantyczne koparki.

DOKOŃCZENIE NA STR. II



Chłodnia kominowa w Bełchatowie

Fot. Zbigniew Furman

W stronę praktyki

TERESA BRODZKA

GÓRNICZO-HUTNICZA

Ażeby w sposób najbardziej lapidarny zobrażować swój wkład w rozwój gospodarki narodowej, w Akademii Górniczo-Hutniczej chętnie posługują się kilkoma przykładami inwestycji, w których wykorzystano w dużym stopniu potencjał naukowo-badawczy tej uczelni. Są to: Huta im. Lenina, Lubliński Głogowski Okręg Miedziowy, Turoszów, Huta Katowice, Bełchatów, Lubelskie Zagłębie Węglowe. Przykłady są dobre, bo inwestycje zaliczają się do największych po wojnie i cieszą się dużą sławą. Jednakże, gdyby ktoś na tej tylko podstawie próbował wyrobić sobie pogląd o zakresie badań i w ogóle zainteresowań naukowych w AGH — mógłby uzyskać obraz fałszywy, a w każdym razie mocno przestarzały.

TAKI obraz narzucają zresztą dwa przymiotniki w nazwie akademii: „górnico-hutnicza”. Uzasadnione, co prawda, nie tylko tradycją, lecz i teraźniejszością: krakowska uczelnia, która obchodzi właśnie jubileusz 80-lecia, od początku swego istnienia miała być kuznią kadry fachowych i naukowych dla tych gałęzi przemysłu, które były na owe czasy dobrze rozwinięte i opierały się na bogatej bazie surowcowej. Ten profil, surowcowo-przemysłowy, umocnił się w AGH

jeszcze bardziej po wojnie, w dużej mierze za sprawą jej pierwszego po wojennego rektora, prof. Walerego Goetla. W ciągu tych lat jednak tak bardzo zmieniło się pojęcie przetwórstwa, podejście do sprawy surowców, nie wspominając już o tempie zmian w technologii, że w nazwie uczelni zawarty jest jedynie bardzo lakoniczny skrót tego, czym się ona naprawdę zajmuje.

Dla przykładu: geologiczna działalność AGH kojarzyła się zawsze z poszukiwaniem i dokumentowaniem złóż surowcowych, dziś zaś akcent przesunął się mocno na ochronę surowców. Przetwórstwo, kiedyś niemal równoznaczne z hutnictwem — oznacza dziś cały kompleks technologii przetwórczych w bardzo szerokim rozumieniu. Po wojnie trafiła do AGH — wraz z prof. Jerzym Grzymkiem — potężna dziedzina, jaką jest przetwarzanie materiałów niemetalicznych dla budownictwa. Od problemów energochłonności — nie objętych tych dzieł dla każdej gałęzi przemysłu — był tylko krok do zajęcia się wytwarzaniem energii, z jądrową włącznie, w której to specjalności tak wiele osiągnięć przysporzył krakowskiemu uczelni prof. Marian Miesowicz. Można by tak mnożyć w nieskończoność rozległe dziedziny nauki, w które uwikłała się z czasem

AGH, a uwikłać się musiała choćby po to, aby dobrze służyć swoim głównym podopiecznym: górnictwu i hutnictwu. Związki krakowskiej akademii z przemysłem i z życiem w ogóle zawsze były ścisłe, nigdy nie była to zamknięta w sobie „świątynia wiedzy”. Toteż dzisiejszy, urzędowy, usankcjonowany zarządzeniami obowiązek uczelni technicznych uczestniczenia w bieżących problemach gospodarki nie jest dla AGH nowością — zmieniła się tylko skala i zasięg współpracy.

ZGODNIE z obowiązującym systemem planowania badań naukowych, uczelnia krakowska realizuje przydzielone jej zadania, ujęte w programach rządowych, wojewódzkich, międzyresortowych, branżowych i własnych. Liczą się one w setki. Uczestniczy też, oczywiście, w planie badań naukowych RWPG; pełni tu rolę koordynatora w trzech tematach: korozji wysokotemperaturowej, maszyn dla przemysłu cementowego oraz walki z hałasem i wibracjami.

Poza rozwiązywaniem tych zadań centralnych, rozłożonych na pięćdziesiąt, a nawet więcej — coraz bardziej stają się w uczelni popularne dotychczas, codzienne formy współpracy z przemysłem, polegające głównie, ale nie tylko,

na umowach tzw. wdrożeń naukowych i licencyjnych różnych przedsiębiorstw, przede wszystkim kopalń i hut, a dotyczących ich konkretnych, nieraz specyficznych problemów. Praca to odpłatna, trzeba dodać, dzięki czemu uczelnia zarabia sama gros środków, które zużywa na badania. Ich roczny koszt wynosi 500 mln zł — dotacje państwowe stanowią dokładnie jedną piątą tej kwoty, reszta pochodzi ze sprzedaży wyników badań.

Takie są zyski uczelni z całkiem ubocznej niejako działalności. Zysk gospodarki ze stosowania rozwiązań znowelizowanych, z których wynikało, że uczelnia techniczna i przemysł są sobie nawzajem niezbędne; są i tak, a więc uczelnia musi być w stanie dostarczać im potrzebne rozwiązania. Wzrost kosztów, a także oszczędności, bądź dodatkowych wartości. Przeciwnie, takie są modne, jednakże bardzo nieprzebrane, bo tak naprawdę efektów badań naukowych na złotówkę przeliczyć się nie da. Nie sposób ocenić wartości np. badań podstawowych, których praktycznego zastosowania w czasie i przestrzeni przewidzieć nie można, a które obciążają ogólne konto wydatków na badania. Nikt też chyba nie podejmie się wyliczenia takiej np. działalności, jaką prowadzi prof. Zbigniew Strzelecki, słynny „ratownik miast”: ile może kosztować Zamość, Kłodzko, czy sam stary Kraków wreszcie?

LICZA jednak w AGH wszystko co tylko mogą policzyć, bo żyjemy w epokę, która wymaga ciągłych rozliczeń, choćby one były zupełnie umiarkowane, a tylko takie

mogą być w relacjach nauka-przemysł. W naszej też epoce padło hasło: uczeni bliżej życia, bo jest to epoka postępu, spiesz się nam do pracy, do nowych technik i technologii, coraz szybciej musimy rozwiązywać coraz to bardziej skomplikowane problemy. Jednakże już dziś nie trzeba naukowców specjalnie popędzać do takich przyziemnych prac, jak konkretne zlecenie z resortu, kombinatu, czy kopalni. Nie gdzie indziej, jak w auli AGH, podczas nawiądanego spotkania kadry naukowej z przedstawicielami przemysłu padło wiele zdań, wcale nie kurtuazyjnych, z których wynikało, że uczelnia techniczna i przemysł są sobie nawzajem niezbędne; są i tak, a więc uczelnia musi być w stanie dostarczać im potrzebne rozwiązania. Wzrost kosztów, a także oszczędności, bądź dodatkowych wartości. Przeciwnie, takie są modne, jednakże bardzo nieprzebrane, bo tak naprawdę efektów badań naukowych na złotówkę przeliczyć się nie da. Nie sposób ocenić wartości np. badań podstawowych, których praktycznego zastosowania w czasie i przestrzeni przewidzieć nie można, a które obciążają ogólne konto wydatków na badania. Nikt też chyba nie podejmie się wyliczenia takiej np. działalności, jaką prowadzi prof. Zbigniew Strzelecki, słynny „ratownik miast”: ile może kosztować Zamość, Kłodzko, czy sam stary Kraków wreszcie?

LICZA jednak w AGH wszystko co tylko mogą policzyć, bo żyjemy w epokę, która wymaga ciągłych rozliczeń, choćby one były zupełnie umiarkowane, a tylko takie

słowych, a także wywołało niepewność co do środków na realizację zamierzeń wieloletnich. Dalej — nie wyposażono dyrektorów zakładów przemysłowych w odpowiednie prerogatywy, a odwrotnie, w sztywne wskaźniki, które nie pozwalają im często na podjęcie ryzyka, związanego zawsze z wprowadzaniem innowacji wynikających z badań naukowych.

WIELE takich przykładów znaleźć można w oficjalnych dokumentach AGH, jeszcze więcej o podobnych trudniach, nie zawsze natury „obiektywnej”, dowiedzieć się można z rozmów zarówno z profesorami, jak i dyrektorami zakładów, mających częste kontakty z uczelnią. Trudno się więc zorientować, czy resortowi nauki oraz innym zainteresowanym resortom naprawdę chodzi o to, aby współpracą była coraz ściślej, czy też występują tu jakieś partykularne interesy, całkiem ze sobą sprzeczne.

Przypomina to wszystko anegdotkę z dość odległych już dziejów AGH, gdy rysunek techniczny nauczał w niej prof. dr Jan Krauze, będący zarazem dziekanem wydziału. Rysunek był stałą zmorem braci studenckiej, więc gdy zbliżał się termin jego oddania — zwracała się ona do profesora Krauzego z prośbą o przesunięcie. Profesor nieodmiennie doradzał złożenie w tej sprawie podania do dziekana. Pisali więc studenci petycje do dziekana Krauzego, a nazajutrz profesor Krauze oznajmiał im z autentycznym współczuciem: Niestety, odrzucili...



LUDDZIE NASZYCH CZASÓW - ICH MYŚL I PRACA DLA KRAJU PO POLU CHODZI...

BARBARA ROMANOWICZ



TUŻ przed zniwami wybito sześćdziesiąt hektarów rzepaku. Rzepak był wyjątkowo ładny. Wtedy miał ochotę spakować manatki i wyjechać, rzucić ziemię raz na zawsze. Jednak został. Po tem również zdarzały się różne niespodziewane rzeczy z pogodą, ale już się nauczył spokoju. Z pogodą jest tak, że trzeba ją przyjąć. Lepsza, gorzej, trzeba z nią żyć. Potrafić się do niej dostosować i ją wykorzystać.

JAN SKARŻYŃSKI pracuje w rolnictwie już piętnaście lat, cały czas na Mazurach. Jest dyrektorem „pegeeru” w Sorkwitu, który leży między Mrągowem a Biskupcem, tu gdzie jezioro Lamparz i rzeka Krutynia. Okolica pełna lasów i wody, lekko pofalowana. Latem dużo obcych, bo latem podobno jest tu najpiękniej. Tak mówią. Jan Skarżyński: *Ludzie z miasta zauważają ziemię podczas wa-*

kacji, potem zapominają i tak do następnego lata. Na wsi inaczej. Z pogodą i niepokodą też jest odwrotnie; na wsi tu, ładna pogoda nie zapowiada odpoczynku.

W tym roku jest trudno. Wyginal rzepak ozimy, wyginal trochę ozimej pszenicy i większość żyta. Te ziemię trzeba było zorać i obsiać od nowa. Tyle jesiennej pracy na darmo, szkoda. Zeszłego roku zima skończyła się miesiąc wcześniej. To znaczy, że miesiąc wcześniej można było wejść na pola. Tego roku wszystko odbywało się później i w pośpiechu. Sorkwity nadganiały wiosnę. Nie było ani wolnych sobót, ani niedziel. Udało się odzyskać dwa tygodnie, czyli w stosunku do zeszłej wiosny, która była już w marcu, spóźnienie jest niewielkie. Ale ludzie wcale nie są szczęśliwi, kiedy zabiera się im cały wolny czas, nawet za duże pieniądze.

Był taki moment, może dwa lata temu, a może pięć, że ludzie na wsi zaczęli inaczej liczyć swój czas. Ich czas stał się cenniejszy. Życie przestało oznaczać pracę. Zjawyły się wymagania wobec życia. Najpierw jakieś takie mieszkanie, potem trochę czasu dla siebie. „Dla siebie” oznacza na razie przede wszystkim telewizję. Ale to się powoli odmienna. Dyrektor Skarżyński był już na wycieczce w Egipcie, jego

pracownicy na wycieczkach w Warszawie. Można nawet powiedzieć, że pragnienia rosną szybciej niż możliwości ich spełnienia.

JAN SKARŻYŃSKI pochodzi z okolic Wysokiej Mazowieckiej. Siostra została lekarzem w Warszawie, brat jest również lekarzem w Warszawie. Drugi brat został na gospodarce. Spotykają się na święta. Ci z Warszawy przyjeżdżają latem do Sorkwitu. Mówią wtedy: *Tobie to się powodzi, po polu chodzisz, nie robisz, wspinałeś życie!*

To życie składa się z wczesnego wstawania i z pracy wyznaczonej nierównymi godzinami. — *Jeżeli pogoda jest ustatkowana, mam wolny czas. Jeżeli się bardzo waży, to go nie mam.* Więc jeśli jest ustatkowana, dyrektor Skarżyński poluje. I nie chodzi nawet o to, żeby konieczność coś upolować, coś czym potem można się chwalić. Chodzi o to, żeby wędrować godzinami po lesie, nasłuchując jego odgłosów. Pa-trzeć na las, wyczuwać las. Potem, kiedy się wraca do domu, człowiek czuje się lżej. Ma więcej cierpliwości na niepokodę i dla dzieci.

Jan Skarżyński ma dwie córki, jedną w szkole, drugą w przedszkolu. Obie prze-padają za jazdą rowerem. Trzeba ich potem szukać po okolicy. Albo we wsi, albo w parku koło pałacu nad jeziorem. Dom, w którym mieszka dyrektor, jest dawną siedzibą zarządcy majątku, dość już nadwreżony czasem. Dyrektor z żoną mieszka na gorze, a na dole jest biuro PGR. Zona też jest po studiach rolniczych i też pracuje w Sorkwitu. Chcieliby kiedyś oboje mieć osobny dom z ogrodem, z pelargoniami.

Jan Skarżyński nie lubi opowiadać o rzeczach wymarzonych. W ogóle jest człowiekiem powściągliwym. Mówi rzeczowym tonem. Przyjechał do pracy na Mazury w roku 1964, po studiach w Olsztynie. W zasadzie, powinien był iść do cukrowni Janikowo, która mu płaciła stypendium. Ale cukrowni Janikowo nie zależało wtedy na mgr. Skarżyńskim, przekazała go więc do Znina. Zninowi też specjalnie nie zależało. W końcu trafił do „pegeeru” w Baranowie, w województwie olsztyńskim. Dyrektorem Baranowa był wówczas Feliks Niesiołowski, rocznik tysiąc dziewięćsetny, ziemianin z pochodzenia. Świetny praktyk, miał ukończoną tylko szkołę dwuzimową. Były kiedyś takie szkoły: jedna zimą — hodowlana, a druga — rolnicza. Feliks Niesiołowski uchodził za człowieka wielkiej surowości. Wyrzucił stażystów. Jan Skarżyński był jednym z nielicznych nie wypędzonych.

Popracował w Baranowie, poszedł do „pegeeru” w Ko-

zarku. Został dyrektorem. Zarabiał 2500 zł. Był rok 1966. Średni plon z czterech podstawowych zbóż wynosił w Ko-zarku równo 10 kwintali. „Pegeery” uchodziły za zeszłanie. Bilans na zero był już wynikiem pozytywnym. Dyrektor wyszedł na zero i zaczął próbować zysków. Pańskie oko konia tuczy. Gospodarstwo to żywy, delikatny organizm. Tak samo jak człowiek nie może żyć samymi ziemniakami. I nie może żyć chaotycznie. Dyscypliny w Ko-zarku nie było żadnej.

Kiedy Kozarek wyszedł na plus, dyrektor Skarżyński został przeniesiony do „pegeeru” w Sorkwitu. 16 sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, pod koniec zniw. Wkrótce minie dziesiąty rok. Ostatniego lata zebrano w Sorkwitu średnio 34 kwintale z hektara.

Co to znaczy dobrze gospodarować? — *Ziemia lubi jednego właściciela. W rolnictwie nie można w kółko robić rewolucji. Podobno zmiana dyrektora kosztuje fabrykę milion złotych. Myślę, że w rolnictwie znacznie drożej. To, co proponowałem zrobić w Sorkwitu sześć lat temu, zaczynamy realizować dopiero dziś. Wszyscy przemiany wymagają ostrożności i czasu. I jeszcze odwagi.*

PGR SORKWITY wykonuje od kilku lat zadania planowe i osiąga wyniki finansowe. Od tego zależy fundusz premii załogi. Od tego zależą pieniądze do ręki i pieniądze na korty tenisowe.

Sorkwity zatrudniają około 600 pracowników, w tym kilkanaście osób po studiach. Dyrektor Skarżyński twierdzi, że to jest mniej więcej tyle co trzeba. Dalszy rozwój produkcji będzie zależał już nie od większej liczby ludzi, tylko od rosnących ludzkich kwalifikacji i od infrastruktury. Na razie są ogromne kłopoty z melioracją. Gdzie się nie ruszy drobne bajora, bagna, poziomowe strumyki, które trzeba objeżdżać traktorem z daleka i zostawiać na pastwę chaszczy. Straty i kłopot w trakcie pracy.

Latem już się zaczyna. Ostatniej jesieni próbowano w „pegeerze” Sorkwity przygotować już po zniwach wszystkie maszyny do nowych zniw, tak jak przewidują zalecenia. Nic z tego. Mechanicy, którzy świeżo po akcji zniwowej znali bólaczki kombinów, rozebrali maszyny do remontu. Przejrzeli, wystawili listę potrzebnych części. Ale okazało się, że np. koła zębate są marzeniem ściętej głowy. Listy z zamówieniami poszły w świat, minął listopad, nie powróciły. Mechanicy na powrót złożyli popsułe maszyny. Teraz, wiosną trzeba było wszystko demontować od nowa.

Na razie mnóstwo reperacji odbywa się systemem chałupniczym. PGR Sorkwity nauczył się robić sobie sam tu-

DOKOŃCZENIE NA STR. IV

ZYCIĘ NOWOCZESNOŚĆ ZYCIĘ NOWOCZESNOŚĆ ZYCIĘ NOWOCZESNOŚĆ

CZY WSPÓŁCZESNA FIZYKA MOŻE BYĆ ZROZUMIANA

Doc. dr hab. EUGENIUSZ GRODZIŃSKI

PUNKTEM wyjścia niniejszych rozważań jest następujące twierdzenie: nie jesteśmy w stanie zrozumieć zjawiska, którego przebieg pozostaje w sprzeczności z naszymi intuicjami poznawczymi. Tak np. gdy iluzjonista demonstruje nam puste pudełko, po chwili zaś z tego pudełka wylatuje gołąb, to zjawiska tego nie rozumiemy, ponieważ intuicja (zgodna z całokształtem naszego doświadczenia życiowego) mówi nam, że gołąb nie mógł powstać w pustej przestrzeni. W tym wypadku jednak jesteśmy przekonani, że nie jest to niezrozumienie, to nie jest defektywność. Uważamy, że nasza zdolność adekwatnego postrzegania zjawiska została zmniejszona przez iluzjonistę i użyciem przez niego nie znanych nam rekwizytów, Słusznie sądzimy, że gdyby iluzjonista zademonstrował nam swą sztuczkę w zwolnionym tempie, udzielając przy tym słownych wyjaśnień, to by się okazało, że nie ma w niej żadnej sprzeczności z naszymi intuicjami, innymi słowy, że gołąb nie powstał w pustej przestrzeni, lecz został do niej wprowadzony z zewnątrz. W ten sposób sztuczka iluzjonisty została przez nas zrozumiana, tracąc zresztą całą swą atrakcyjność, gdyż występuje iluzjonista przyciągająca nas jedynie wówczas, gdy nie rozumiemy zjawiska, które nam demonstruje.

Zjawisko sprzeczne z naszymi intuicjami może zostać przez nas zrozumiane nie tylko poprzez wyjaśnienie pozornego charakteru tej sprzeczności, ale również w pewnych wypadkach poprzez zmianę samej intuicji. Gdy niegdyś żyłone przeświadczenie o płaskim kształcie Ziemi zostało zastąpione przekonaniem o jej kulistości, odczuwały się dziwne głosy: „Jeżeli Ziemia jest kulista, to nasi antypodzi chodzą nogami do góry, a głowa w dół”. Przypuszczenie to było zgodne z bardzo prostą intuicją głoszącą, że jeśli ciało jakiegokolwiek człowieka jest umieszczone w pionie w kierunku przeciwnym do mojego ciała, to skoro ja chodzę głową do góry, tamten człowiek musi chodzić głową w dół. Ta intuicja uniemożliwiała zrozumienie faktu, że antypodzi mają taką samą normalną pozycję ciała, jaka mamy my, została jednak zmieniona i przestała przeszkadzać, gdy uświadomiono sobie, że kierunek z góry do dołu jest dla każdego człowieka identyczny z kierunkiem oddziaływania na niego przyciągania ziemskiego, niezależnie od tego, w jakim miejscu kuli ziemskiej ten człowiek się znajduje.

WSPÓŁCZESNA, dwudziestowieczna fizyka, aczkolwiek wspierała i rewolucyjna w swych osiągnięciach, jest — w przeciwieństwie do fizyki klasycznej — wybitnie nieintuicyjna, a mówiąc ściślej — antyintuicyjna. Wskutek tego śmiemy twierdzić, nie jest na ogół rozumiana, choć inteligentni skądinąd ludzie nie przynajmniej się do nierozumienia jej twierdzeń, chcą uniknąć pośmiejek o naiwności i nieuctwo. Przypuszczamy kilka najprostszych przykładów owej antyintuicyjności:

● Intuicja absolutnej przestrzeni i absolutnego czasu tkwi, jak sądzimy, niezwykle głęboko w psychice ludzkiej. Człowiek jest intuicyjnie przekonany, że gdyby nawet materia ani energia w ogóle nie istniały, a przestrzeń Wszechświata była całkowicie pusta, ta pusta przestrzeń istniałaby jednak w swym nieskończonym trwaniu w czasie. Mówiąc krócej, człowiek może sobie wyobrazić nieistnienie materii, lecz nie może sobie wyobrazić nieistnienia przestrzeni i czasu.

● Tymczasem współczesna fizyka stanowczo zaprzecza koncepcji absolutnej przestrzeni i absolutnego czasu, twierdząc, że przestrzeń i czas — to jedynie atrybuty materii, które by bez materii istnieć nie mogły.

● Jeśli chodzi o intuicję związaną z przestrzenią, to najbardziej zasadniczą jest tu chyba intuicja nieskończoności i nieograniczonej rozciągłości przestrzeni w dowolnym kierunku. Jesteśmy intuicyjnie przekonani, że przez dowolny punkt we Wszechświecie, znajdujący się na naszej Ziemi lub w odległości milionów czy miliardów lat świetlnych od niej, można przeprowadzić we wszystkich kierunkach linie proste nieskończonej długości. Ale współczesna fizyka (w osobach przynajmniej niektórych swoich przedstawicieli) utrzymuje, że przestrzeń jest skończona. Zresztą twierdzenie o skończoności przestrzeni wynika logicznie z tezy, iż przestrzeń jest jednym z atrybutów materii. Tam gdzie nie ma materii, nie ma i przestrzeni.

● Współczesne teorie fizyczne określają wiek Wszechświata na 15—20 miliardów lat, przy czym początkiem Wszechświata miała być tzw. eksplozja pierwotna. Nie zaprzeczając, rzecz jasna, słuszności tego twierdzenia, zwróćmy jednak uwagę na to, że jeśli czas i przestrzeń są atrybutami materii, to ich istnienie rozpoczyna się z chwilą początku Wszechświata. Występuje tu wyraźna sprzeczność między tezami fizyki a naszym językiem, który odzwierciedla intuicję ludzi nim się posługujących. Jeśli ktoś zechce zadać całkiem wyidealizowane, uzasadnione pytanie: „Co się działo 50 czy 100 miliardów lat temu?”, musi być — w świetle ustaleń fizyki — sformułować, jak następuje: „Co się działo w czasie, kiedy nie było czasu?”.

● Prawdnie brzmi całkiem niedorzeczność, ale nie język jest winien tej niedorzeczności. Owa sprzeczność między językiem a fizyką będzie trwała dopóty, dopóki bądź fizyka nie udowodni, że przed obecnym Wszechświatem istniał jakiś inny Wszechświat z własną przestrzenią i czasem, bądź też nie zostanie radykalnie wykorzeniona z psychiki ludzkiej intuicja wieczności czasu.

● Jedną z głęboko zakorzenionych w psychice człowieka intuicji związanych z percepcją czasu jest intuicja absolutnej równoczesności. Polega ona na tym, że gdy w danej chwili np. klasztor w dnie, jestem przekonany, że równocześnie w całym Wszechświecie — w dowolnym miejscu naszej Ziemi, na planetach naszego Układu Słonecznego, na bliskich i odległych gwiazdach — coś się dzieje. Lecz fizyka współczesna nie uznaje absolutnej równoczesności, zastępując ją równoczesnością względną, zrelatywizowaną do układu odniesienia.

nak w swym nieskończonym trwaniu w czasie. Mówiąc krócej, człowiek może sobie wyobrazić nieistnienie materii, lecz nie może sobie wyobrazić nieistnienia przestrzeni i czasu.

● Tymczasem współczesna fizyka stanowczo zaprzecza koncepcji absolutnej przestrzeni i absolutnego czasu, twierdząc, że przestrzeń i czas — to jedynie atrybuty materii, które by bez materii istnieć nie mogły.

● Jeśli chodzi o intuicję związaną z przestrzenią, to najbardziej zasadniczą jest tu chyba intuicja nieskończoności i nieograniczonej rozciągłości przestrzeni w dowolnym kierunku. Jesteśmy intuicyjnie przekonani, że przez dowolny punkt we Wszechświecie, znajdujący się na naszej Ziemi lub w odległości milionów czy miliardów lat świetlnych od niej, można przeprowadzić we wszystkich kierunkach linie proste nieskończonej długości. Ale współczesna fizyka (w osobach przynajmniej niektórych swoich przedstawicieli) utrzymuje, że przestrzeń jest skończona. Zresztą twierdzenie o skończoności przestrzeni wynika logicznie z tezy, iż przestrzeń jest jednym z atrybutów materii. Tam gdzie nie ma materii, nie ma i przestrzeni.

● Współczesne teorie fizyczne określają wiek Wszechświata na 15—20 miliardów lat, przy czym początkiem Wszechświata miała być tzw. eksplozja pierwotna. Nie zaprzeczając, rzecz jasna, słuszności tego twierdzenia, zwróćmy jednak uwagę na to, że jeśli czas i przestrzeń są atrybutami materii, to ich istnienie rozpoczyna się z chwilą początku Wszechświata. Występuje tu wyraźna sprzeczność między tezami fizyki a naszym językiem, który odzwierciedla intuicję ludzi nim się posługujących. Jeśli ktoś zechce zadać całkiem wyidealizowane, uzasadnione pytanie: „Co się działo 50 czy 100 miliardów lat temu?”, musi być — w świetle ustaleń fizyki — sformułować, jak następuje: „Co się działo w czasie, kiedy nie było czasu?”.

● Prawdnie brzmi całkiem niedorzeczność, ale nie język jest winien tej niedorzeczności. Owa sprzeczność między językiem a fizyką będzie trwała dopóty, dopóki bądź fizyka nie udowodni, że przed obecnym Wszechświatem istniał jakiś inny Wszechświat z własną przestrzenią i czasem, bądź też nie zostanie radykalnie wykorzeniona z psychiki ludzkiej intuicja wieczności czasu.

● Jedną z głęboko zakorzenionych w psychice człowieka intuicji związanych z percepcją czasu jest intuicja absolutnej równoczesności. Polega ona na tym, że gdy w danej chwili np. klasztor w dnie, jestem przekonany, że równocześnie w całym Wszechświecie — w dowolnym miejscu naszej Ziemi, na planetach naszego Układu Słonecznego, na bliskich i odległych gwiazdach — coś się dzieje. Lecz fizyka współczesna nie uznaje absolutnej równoczesności, zastępując ją równoczesnością względną, zrelatywizowaną do układu odniesienia.

● Powszechną intuicją przejawiającą się zarówno w działalności poznawczej i naukowej, jak i w całej w ogóle praktyce człowieka, jest intuicja związku przyczynowego, czyli przekonanie o tym, że każde zjawisko ma jakąś przyczynę. Gdy dowiadujemy się o jakimś nieoczekiwanym zjawisku, pytamy się z miejsca — „Jak to się stało?”, a to jest równoznaczne z pytaniem o przyczynę tego zjawiska. Wyjaśnić zjawisko — to przede wszystkim ustalić jego przyczynę. Intuicja związku przyczynowego zaczęła się przejawiać w psychice ludzi w bardzo wczesnej fazie rozwoju ludzkości. Już ludzie pierwotni doszukiwali się przyczyny każdego zjawiska, a nie umiając jej określić na drodze naturalnej, dopatrywali się jej przyczyn w widmieniu ducha, któremu dane zjawisko rzekomo podlega i który ma być ułubianym, aby nie szkodził ludziom. Na tym polegały powszechne u ludów prymitywnych wierzenia animistyczne.

Jednakże fizyka współczesna twierdzi, że w mikroświecie nie obowiązują prawa przyczynowe w tym sensie, że poszczególne zjawiska mikroświata nie są w swym przebiegu determinowane. W mikroświecie zachodzą prawidłowości masowe, statystyczne, lecz nie przyczynowe, indywidualne. Mówiło się nawet metaforycznie o „wolności woli” elektronu. Przy tym owo niezdeterminowanie pojedynczych zjawisk mikroświata ma być immanentne, wynikające z samej jego natury i nie dające się wytłumaczyć niedoskonałościami naszych metod poznawczych ani z faktem niedopasowania naszych należańców do makroświata przyrządów pomiarowych do zjawisk w mikroświecie.

Teza o niezdeterminowaniu zjawisk mikroświata pozostaje w oczywistej sprzeczności z intuicją głoszącą, że każde zjawisko musi mieć przyczynę. Nie dyskwalifikuje to tej tezy, ponieważ z góry zakładamy, że ludzkie intuicje poznawcze mogą nie być adekwatne do rzeczywistości. Jednakże sprzeczność powyższa utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, rzetelne zrozumienie przebiegu zjawisk mikroświata, przy czym i w tym wypadku stan ten będzie trwał tak długo, jak długo żywota będzie w psychice człowieka intuicja przyczynowego uwarunkowania każdego zjawiska.

Należy jeszcze zwrócić uwagę na to, że w makroświecie uznaje się zarówno związki przyczynowe o charakterze indywidualnym, jak i prawidłowości statystyczne, probabilistyczne, w mikroświecie natomiast — w zasadzie tylko te drugie. Czyżby więc struktura obu tych światów, istnienie w nich prawidłowości byłyby całkiem odmienne? A przecież nie są to bynajmniej dwa odrębne światy, lecz jedynie dwa przekroje, dwa przecięcia tego samego świata.

Przykłady antyintuicyjności twierdzeń współczesnej fizyki można dowolnie mnożyć. Antyintuicyjny jest zwłaszcza jeden z najważniejszych jej działów, mianowicie mechanika kwantowa. Czyżby z tego, cośmy powiedzieli, należało wysnuć wniosek o potrzebie odrzucenia fizyki współczesnej i powrotu do fizyki klasycznej, jako o wiele bardziej zgodnej z naszymi intuicjami? Decyzja taka byłaby całkowicie błędna. Fizyka XX wieku ma jedną, ale decydującą przewagę nad klasyczną: twierdzenia jej lepiej, precyzyjnie i prawdziwie empirycznie niż twierdzenia fizyki klasycznej.

Nic jednakże nie usprawiedliwia lekceważącego, pogardliwego ustosunkowania się do wspomnianych przez nas intuicji, odżegnywania się od nich jako od czegoś znanego, nienajmniejszego i niskiego poziomu rozwoju umysłowego. Śmiemy twierdzić, że intuicje te są dziś tak samo żywotne jak dawniej, gdy holdowali im wśród innych ludzi koryfeusze nauki, twórcy fizyki klasycznej.

W ZWIĄZKU z powyższym rodzi się drażliwe, ale nieuniknione pytanie. Jak tezy własnej nauki rozumieją sami fizycy? Przecież także i im głęboko zakorzenione intuicje muszą przeszkadzać w rozumieniu antyintuicyjnych tez. Odpowiedzi na to pytanie poszukujemy w pismach jednego z najwybitniejszych współczesnych fizyków i filozofów fizyki, profesora uniwersytetu w Montrealu, MARIO BUNGE. W swej książce „Filozofia fizyki” autor formułuje to, co nazywa „dziesięciorgiem przykazań” współczesnej fizyki. Są to dogmaty, które — jak twierdzi Bunge — fizyk ów uznaje i kieruje się nimi w swej codziennej pracy. W piątym przykazaniu czytamy: W żadnym wypadku nie należy uściwować wyjaśnień rzeczywistości. Należy trzymać się jak najdalej od uściwiania rozumienia istoty rzeczy. W innym miejscu swej książki Bunge tak pisze na temat rozumienia przez fizyków twierdzeń mechaniki kwantowej: Panujący zamęt jest ostro odczuwany przez początkujących, lecz doświadczony fizyk nauczył się z nim współżyć. W istocie przyzwyczaił się on do postępowania ze instrumentem konceptualnym, nie pretendując do jego rozumienia. Czasem twierdzi się nawet, że dążenie do rozumienia jest przeszytym przetyknięciem fizyki klasycznej. Zawodowcy może się z tym zgodzić, utrzymując, że zjawiska kwantowe są, w ostatecznym rozrachunku, niedostępne dla umysłu, i że powinniśmy czuć się szczęśliwi, jeżeli nie rozumiemy świata w klasycznej sensie rozumienia, jednak osagamy sukcesy, uzyskując za pomocą teorii kwantów rokowania, potwierdzone przez obserwację i eksperyment.

Jak widzimy, Bunge w dość dosadny sposób scharakteryzował ustosunkowanie się fizyków do kwestii, czy tezy ich własnej nauki nadają się do rozumienia. Nie mamy jednak podstaw, aby mu nie wierzyć. Z wywodów Bungego wynika też, że poznanie i rozumienie są to dwa różne procesy psychiczne, które nie zawsze muszą iść w parze. Poznanie jest

formulowaniem teorii (albo przyswajaniem sobie teorii już wcześniej sformułowanych), które się sprawdzają w praktyce, natomiast istotnym elementem rozumienia jest uzgodnienie tych teorii z własnymi intuicjami poznawczymi.

Gdzie należy ewentualnie szukać wyjścia z nieznosnej sytuacji polegającej na tym, że twierdzenia nauki będącej fundamentem całego przyrodonauktwa i w niewielkim stopniu podstawą światopoglądu naukowego, stają się coraz mniej zrozumiałe wskutek ich pogłębiania się antyintuicyjności? Wydaje się, że są tu dwie możliwe drogi do rozważenia, choć są to na pewno drogi trudne i z bardzo niepewnym rezultatem końcowym:

● Należałoby się zastanowić, czy sprzeczność między tezami i teoriami współczesnej fizyki a poznawczymi intuicjami ludzi nie mają mimo wszystko charakteru pozornego. Intuicje poznawcze odnoszą się do świata zjawisk fizycznych jako takiego. Gdyby dało się ustalić, że fizyka współczesna nie bada świata fizycznego jako takiego, lecz świat fizyczny z wkomponowanym w ten obserwatorom jako nieodłącznym elementem tego świata, to mogłoby się istotnie okazać, że sprzeczność między intuicjami poznawczymi a tezami fizyki są jedynie pozorne, albowiem intuicje poznawcze z jednej, teorie i tezy fizyczne z drugiej strony — mają różne obiekty. Czy droga ta może być owocna, a jeśli tak, to czy kroczyć nią można usunąć wszystkie sprzeczności między intuicjami poznawczymi człowieka a tezami fizyki, czy też tylko niektóre z nich — na te pytania moglibyśmy, rzecz jasna, z należytym uzasadnieniem odpowiedzieć tylko sami fizycy.

● Jeśli jednak odrzucone zostałoby przypuszczenie, że sprzeczności, o których mówimy, mają tylko pozorny charakter, to jedyną drogą prowadzącą do ich usunięcia byłaby przebudowa intuicji ludzkich, wykorzeniecie z psychiki człowieka intuicji sprzecznych z tezami i teoriami współczesnej fizyki. Przewodnikami i doradcami w procesie przebudowy intuicji poznawczych u wszystkich ludzi pragnących zrozumieć strukturę świata materialnego zgodnie z ustaleniami współczesnej nauki — mogliby znowu być wyłącznie fizycy. Zadanie to jednak wydaje się bardzo trudne.

Gdyby się wszak miało okazać (o czym wcale nie chcemy przesądzać), że pogodynie zasadniczych intuicji poznawczych człowieka z twierdzeniami współczesnej fizyki jest w ogóle niemożliwe, stanęlibyśmy wobec przykrego dla nauki faktu polegającego na tym, że człowiek zdolny jest do coraz bardziej adekwatnego poznania struktury otaczającego go świata (o czym świadczą, jak wiśnieliśmy, coraz większa zgodność pomiędzy budowanymi przez niego teoriami a rezultatami doświadczeń i pomiarów), ale nie jest zdolny do rozumienia tej struktury, albowiem na przeszkodzie stoją jego inaczej ukształtowane i nie nadające się do zmiany intuicje poznawcze.

Ale nawet i w tym wypadku, gdyby uznanie tej deprymującej prawdy okazało się w końcu nieuniknione, wnioskowe i wszechstronne, sine ira et studio, rozważenie całego zagadnienia, czy współczesna fizyka nadaje się do tego, aby być rozumiana — wydaje się potrzebne i bardzo na czasie.

Tu, w Chomiąży Szlacheckiej, nad pięknym jeziorem Otwieka, gdzie Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego w Inowrocławiu oddało TPD na dwa tygodnie do dyspozycji swój duży i wygodny Ośrodek Szkoleniowo-Rekreacyjny, najmłodsze dziecko ma trzy, najstarsze dwa — na razie, Największe jest cztero-, pięcioletnie i szesnastoletnie. W sumie 23 dzieci upośledzonych i troje ich zdrowego rodzeństwa.

Justyna przyjechała z babcią, Aldona i Benjamin z ojczymami, trójka dzieci z obojgiem rodziców, reszta z matkami. Rodzice reprezentują najrozmaitsze zawody i pozycje wykształcenia — jest wśród nich rolnik, sztygar, kierowca, dwie nauczycielki, wykładowca wyższej uczelni. Kilka matek nie pracuje zawodowo, zajmując się wyłącznie wymagającym nieustannym opieką dzieckiem. Wiek rodziców: od 27 do 42 lat.

Tomus w Chomiąży doszedł do skutku głównie dzięki dyrektorowi ZW TPD w Bydgoszczy, Wojciechowi Chudańskiemu, rozumiejącemu jak mało kto konieczność pomocy dzieciom upośledzonym oraz ich rodzinom. Znalazł się na nim dzieci z różnych województw, gdyż w Bydgoszczy zabrakło chętnych. Zawsze na początku rekrutacja idzie opornie. W

formulowaniem teorii (albo przyswajaniem sobie teorii już wcześniej sformułowanych), które się sprawdzają w praktyce, natomiast istotnym elementem rozumienia jest uzgodnienie tych teorii z własnymi intuicjami poznawczymi.

Gdzie należy ewentualnie szukać wyjścia z nieznosnej sytuacji polegającej na tym, że twierdzenia nauki będącej fundamentem całego przyrodonauktwa i w niewielkim stopniu podstawą światopoglądu naukowego, stają się coraz mniej zrozumiałe wskutek ich pogłębiania się antyintuicyjności? Wydaje się, że są tu dwie możliwe drogi do rozważenia, choć są to na pewno drogi trudne i z bardzo niepewnym rezultatem końcowym:

● Należałoby się zastanowić, czy sprzeczność między tezami i teoriami współczesnej fizyki a poznawczymi intuicjami ludzi nie mają mimo wszystko charakteru pozornego. Intuicje poznawcze odnoszą się do świata zjawisk fizycznych jako takiego. Gdyby dało się ustalić, że fizyka współczesna nie bada świata fizycznego jako takiego, lecz świat fizyczny z wkomponowanym w ten obserwatorom jako nieodłącznym elementem tego świata, to mogłoby się istotnie okazać, że sprzeczność między intuicjami poznawczymi a tezami fizyki są jedynie pozorne, albowiem intuicje poznawcze z jednej, teorie i tezy fizyczne z drugiej strony — mają różne obiekty. Czy droga ta może być owocna, a jeśli tak, to czy kroczyć nią można usunąć wszystkie sprzeczności między intuicjami poznawczymi człowieka a tezami fizyki, czy też tylko niektóre z nich — na te pytania moglibyśmy, rzecz jasna, z należytym uzasadnieniem odpowiedzieć tylko sami fizycy.

● Jeśli jednak odrzucone zostało przypuszczenie, że sprzeczności, o których mówimy, mają tylko pozorny charakter, to jedyną drogą prowadzącą do ich usunięcia byłaby przebudowa intuicji ludzkich, wykorzeniecie z psychiki człowieka intuicji sprzecznych z tezami i teoriami współczesnej fizyki. Przewodnikami i doradcami w procesie przebudowy intuicji poznawczych u wszystkich ludzi pragnących zrozumieć strukturę świata materialnego zgodnie z ustaleniami współczesnej nauki — mogliby znowu być wyłącznie fizycy. Zadanie to jednak wydaje się bardzo trudne.

Gdyby się wszak miało okazać (o czym wcale nie chcemy przesądzać), że pogodynie zasadniczych intuicji poznawczych człowieka z twierdzeniami współczesnej fizyki jest w ogóle niemożliwe, stanęlibyśmy wobec przykrego dla nauki faktu polegającego na tym, że człowiek zdolny jest do coraz bardziej adekwatnego poznania struktury otaczającego go świata (o czym świadczą, jak wiśnieliśmy, coraz większa zgodność pomiędzy budowanymi przez niego teoriami a rezultatami doświadczeń i pomiarów), ale nie jest zdolny do rozumienia tej struktury, albowiem na przeszkodzie stoją jego inaczej ukształtowane i nie nadające się do zmiany intuicje poznawcze.

Ale nawet i w tym wypadku, gdyby uznanie tej deprymującej prawdy okazało się w końcu nieuniknione, wnioskowe i wszechstronne, sine ira et studio, rozważenie całego zagadnienia, czy współczesna fizyka nadaje się do tego, aby być rozumiana — wydaje się potrzebne i bardzo na czasie.

Tu, w Chomiąży Szlacheckiej, nad pięknym jeziorem Otwieka, gdzie Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego w Inowrocławiu oddało TPD na dwa tygodnie do dyspozycji swój duży i wygodny Ośrodek Szkoleniowo-Rekreacyjny, najmłodsze dziecko ma trzy, najstarsze dwa — na razie, Największe jest cztero-, pięcioletnie i szesnastoletnie. W sumie 23 dzieci upośledzonych i troje ich zdrowego rodzeństwa.

Justyna przyjechała z babcią, Aldona i Benjamin z ojczymami, trójka dzieci z obojgiem rodziców, reszta z matkami. Rodzice reprezentują najrozmaitsze zawody i pozycje wykształcenia — jest wśród nich rolnik, sztygar, kierowca, dwie nauczycielki, wykładowca wyższej uczelni. Kilka matek nie pracuje zawodowo, zajmując się wyłącznie wymagającym nieustannym opieką dzieckiem. Wiek rodziców: od 27 do 42 lat.

Tomus w Chomiąży doszedł do skutku głównie dzięki dyrektorowi ZW TPD w Bydgoszczy, Wojciechowi Chudańskiemu, rozumiejącemu jak mało kto konieczność pomocy dzieciom upośledzonym oraz ich rodzinom. Znalazł się na nim dzieci z różnych województw, gdyż w Bydgoszczy zabrakło chętnych. Zawsze na początku rekrutacja idzie opornie. W

formulowaniem teorii (albo przyswajaniem sobie teorii już wcześniej sformułowanych), które się sprawdzają w praktyce, natomiast istotnym elementem rozumienia jest uzgodnienie tych teorii z własnymi intuicjami poznawczymi.

Gdyby się wszak miało okazać (o czym wcale nie chcemy przesądzać), że pogodynie zasadniczych intuicji poznawczych człowieka z twierdzeniami współczesnej fizyki jest w ogóle niemożliwe, stanęlibyśmy wobec przykrego dla nauki faktu polegającego na tym, że człowiek zdolny jest do coraz bardziej adekwatnego poznania struktury otaczającego go świata (o czym świadczą, jak wiśnieliśmy, coraz większa zgodność pomiędzy budowanymi przez niego teoriami a rezultatami doświadczeń i pomiarów), ale nie jest zdolny do rozumienia tej struktury, albowiem na przeszkodzie stoją jego inaczej ukształtowane i nie nadające się do zmiany intuicje poznawcze.

CO W LEJU PISZCZY

DOKOŃCZENIE ZE STR. I

do których podłączono taśmociąg do wywożenia urobku. Non stop wielkie pompy wyciągają wodę z gruntu, a chłopców dodatkowo zabezpieczył kopalnię przed zalaniem — uregulowano i... wyłożono celofanem koryto płynącej opodal Widawki. Tyle ze spraw kopalni.

Natomiast budowa elektrowni ma kilkumiesięczne opóźnienie spowodowane zimą i zmianami jak aura dostawami. A trzeba wybudować dwa kominy na 300 m wysokości, zmontować dwa 120-metrowe kotły oraz postawić budynek o długości prawie trzech czwartych kilometra, wysoki i szeroki na 100 m. Pierwszy prąd z Belchatowa popłynie ma w 1980 r. Wiele biorąc pod uwagę ogrom roboty i kurczący się czas — to owe majstrowe drobniarki przyrównywane do szelek i spodni nabierają całkiem nowego wymiaru.

Warzenie zupy

Na budowie jest 40 wykonawców i 3 główne sity: gornicy, energetycy i budowlani. Z doskoku, od czasu do czasu włącza się do układu władza terenowa. Wzajemne powiązania, hierarchia, to dla obcego rzecz trudna do zasyfrowania.

Główny cel działania wszystkich jest jednakowy: prąd z Belchatowa — mówi Wiktor Cybulski, I sekretarz Komitetu Budowy Zagłębia Górniczo-Energetycznego. Ale cele szczegółowe niekoniecznie muszą być te same. Niekiedy więc egzekutywa staje się swego rodzaju tygrysem, w którym warzą się sporne sprawy tak daleko od siebie, jak widać z tego zdjęcia zupa, a nie jakaś mdła polewka.

Jednak o spornych kwestiach sekretarz woli nie mówić. Te załatwiają między sobą, w rodzinie.

Co „warzy” się jeszcze na egzekutywie? Na przykład problem kłopskiej funkcjonującej transportu, zwłaszcza dewocjo pracowników na budowę. Sporządzone nawet w tej sprawie raport, w którym czytamy: „Przyjmując ponadnormatywne zwiększenie potencjału środków transportowych, możliwości posiadanej floty, ograniczając się do przewiezienia 9400 osób. Przewiezionych w chwili obecnej winno być 10,5 tys. osób. Niedobór środków dla przewiezienia 1083 osób wynosi 102 autobusów”. Dalej jest 44 wniosków. Sekretarz twierdzi, że po raporcie trochę się poprawiło.

Z mieszkaniami też jest różnie, ale raportu już nie sporządza. „Temat” spróbują załatwić sami. Szanse daje spreparowany przez budowlanych „styreboton” czyli granulowany styropian zmieszany z betonem, którym zalewa się gotowe formy. A mając odpowiednie formy można budować parterowe domy w 10 dni, a nie, jak tradycyjnie, w 10 miesięcy. Jeśli budowlany wszystko wypalił z tym nowym pomysłem, niebawem mają przystąpić do stawiania osiedla dla 5 tys. domków jednorodzinnych.

Człowiek z walizką

Dzieli się na walizkowców i niewalizkowców. Walizkowcy to taki co przychodzi i potem odchodzi. Niewalizkowcy przychodzi i zostaje. Niewalizkowcy to górnicy i energetycy. Walizkowcy to budowlani, tacy jak Mulwa i Dziobaty.

Mulwa i Dziobaty znają się na rzeczy nie najgorzej, więc wprowadzają mnie dalej w rozmaite podziały.

Razem z Mulwą, Dziobatem i paroma innymi czekamy na autobus. Jest 20 minut po czasie i coraz bardziej wiadomo, że

wóz nieprędko przyjedzie. „Nie ma się gdzie spieszyć panie. Cholerne upał”.

Mulwa spiknął się z Dziobatem parę lat temu w Gdańsku, w porcie. Od tej pory chodzą we dwóch. Był w Rybniku, Tarnobrzegu, Turzówku, Koninie. Przetargają żelazne zasady: „Zrzymać się wielkich budów”.

Co wiedzieli o Belchatowie? Niewiele. Kumpel powiedział: „Mulwie, że właśnie coś wielkiego się buduje, że potrzeba ludzi. W Koninie nie było już co robić, więc spakowali walizy i pojechali. Walizka Mulwy leżała — z zamkiem błyskawicznym. Dziobatego — stara, przetrzała potem i brudem, przewieziona sznurkiem. W obu jednak to samo: bereł, stara marynarka, koszulka, gumki, płaszcz na wiatrołolnie”.

Co pamiętają ze swoich początków w Belchatowie? Błoto, pył, szkolenie bhp i takiego gderemajstra. Dziobaty przypomniał sobie jeszcze cenę biletu: za osobowy z Konina do Piotrkowa.

Co dalej? Mulwa nie ma zamiaru ruszać się z Belchatowa. Poznał dżwięczkę z kiosku „Ruchu”. Dziobaty chyba też zostanie, no bo skoro Mulwa... „Pozą” tym na budowie można nieźle wyciągnąć: sześć, siedem miesięcznie. A roboty tu jeszcze na jakie 20 lat.

Belchatów City

Na koniec zostawiłem sobie miasto. Przed sklepem, zwany sklepem aptecznym, wisł taki szyld: polecamy w dużym wyborze lekarstwa, strzykawki, ziola, kosmetyki, esencje do ciast, upominki, pasty do podłóg, świece. Po wejściu przekonałem się, że w środku są jeszcze stołki, lampy, kołki rozporowcze itp. Był to, w moim odczuciu, jeden z lepiej zaopatrzonych sklepów w Belchatowie.

Na słupie z afiszami czytamy: „Górnicy Belchatów” zmierzają niebawem z „Wiołkarnią Żelaz”. Afisz dyskretnie przypomina: „trzechwój i sport idą w parze”.

W Miejskim Domu Kultury przeprowadziłem krótką rozmowę.

— Jest coś ciekawego?

— Właściwie to nie — odrzekł szatniar. Kierownika nie było. — Bo wie pan, taki teraz sezon...

— A ostatnio?

— Ostatnio? Też nie.

— A kawiarnia na dole?

— Zamknięta, bo klienci rozrabiali.

W MDK więc wyświetla się filmy. Jeden seans dziennie.

W mieście górnicy mają własne kluby: „Barbórka” i „Gwardia”. Energetycy — Klub Energetyka. Budowlani — „Pod Kielnią”. Do każdego można się dostać za kartami wstępu. Dla miejscowych są niedostępne.

Hoteli robotniczych w Belchatowie jest osiem. Ale okazało się, że to mało — więc przebudowano na hotele bloki mieszkalne. W sumie przypuściło tam grubo ponad jedną trzecią dwudziestopięcioletniego Belchatowa z całą swoją hotelową tymczasowością życia.

Oto skrócona anatomia możliwości miasta. Józef Wierczokiewicz, stary działacz, skwitował to wszystko parafrazą:

„Nie od razu Belchatów zbudowano. Ale jasne, że dla każdego tutaj, przyjeźdnego czy tubylcy, ważny jest nie tylko kształt jutra, lecz także warunki dochodzenia do niego”. Jedno nie ulega wątpliwości: węgiel dał nadzieję, rozbudził ambicje i zapal”.

I to właśnie chciałem powiedzieć.

JACEK MOJKOWSKI

PRZESILENIE

JOANNA HORODECKA

KRYZYS przychodzi zwykle drugiego, trzeciego dnia. Kiedy już wszyscy odkryją, że wczasy to nazwa umowna, w rzeczywistości zaś zajęcia trwają od rana do nocy, w kadry brak oczekiwanych cudotwórców uzbrojonych w skomplikowaną aparaturę umożliwiająca odmiennienie dziecka na lepsze, a wypełniony po brzegi program dnia nie zawiera żadnych rewelacji, raczej czynności mało urozmaicone i dla dorosłych nużące. Część z tych, którzy są na tym turnusie pierwszy raz, nie potrafi ukryć rozczarowania.

Czego oczekiwać? Zapewne różnych rzeczy, najmniej chyba jednak tego, co im tu proponują, czyli czynnego udziału we wszystkich prowadzonych z dziećmi zajęciach: plastycznych, muzycznych, ruchowych, usprawniających, ogólnorozwojowych, rekreacyjnych. Dzień i noc nie odstępują przecież dzieci ani krok, więc przynajmniej wtedy kiedy dziećmi zajmują się instruktorzy i terapeuci, można by im, rodzicom, dać chwilę oddechu. Ich udział w

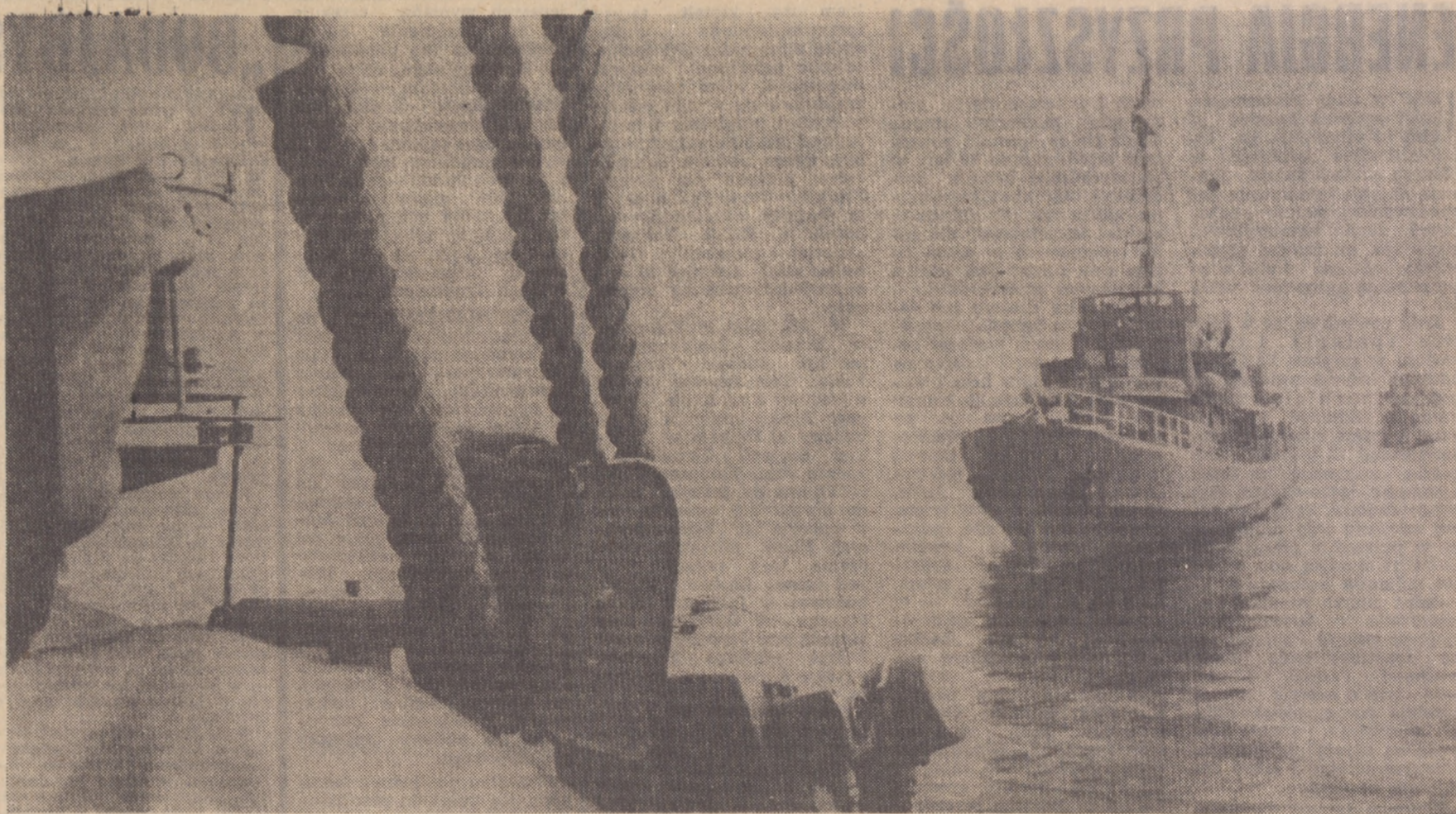
zajęciach jest jednak niezbędny.

— Wszyscy robimy duże, duże kolo. Wszystkie dzieci, mamusie i tatusiowie... a teraz maszerujemy... klaszczemy...

Kilkoro dzieci zdecydowanie odmawia udziału w ćwiczeniach. Sławek za nic nie siadzie na podłodze. Duży, otyły przelewa się na krześle i wydaje gniewne okrzyki. Kiedy matka powtarzając monotonnie: Statuś, no, Statuś, chodź Statuś, Statuś — próbuje go wziąć za rękę, chłopiec wrzeszczy i w odruchu autoagresji ciągnie sam siebie za włosy. Dopiero kiedy zabrzmi d



Sygnalista przekazuje meldunek



Okrety w szyku torowym wychodzą w morze

Ćwiczenia Marynarki Wojennej

BITWA O PORT

ZBIGNIEW ZAWADA — zdjęcia ZDZISŁAW KWILECKI

Niedawno odbyły się ćwiczenia polskiej Marynarki Wojennej. Wzięły w nich udział okręty różnych typów, a także służby naziemne Marynarki. Celem ćwiczeń była obrona portu wojennego przed atakiem dywersyjnych prób i lotnictwa przeciwnika.

NA REDZIE PORTU WOJENNEGO już od rana czuwały okręty i śmigłowce przeznaczone do zwalczania okrętów podwodnych. Trałowce kontrolowały tory wodne w poszukiwaniu min. W porcie panował na razie spokój. Na pokładach okrętów wykonywano codzienne czynności, odbywały się zbiórki, sprawdzano stan gotowości sprzętu.

Pada sygnał do podniesienia bandery na okrętach. Rozlega się głos trąbki, rozbrzmiewają pokładowe gongi, słychać gwizdki oficerskie, podające komendę „baczność”. Trwa składanie codziennych meldunków. Po tej ceremonii załogi ponownie przystępują do swoich zwykłych zajęć.

Nagle powietrze rozrywa ogłosek eksplozji. Na brzegu i na niektórych okrętach wybuchają pożary. To grupy dywersyjne przeciwnika zaatakowały port. Starają się jak najszybciej i jak najwięcej zniszczyć. Załoga portu natychmiast przystępuje do obrony. Udaje się złapać kilku dywersantów. Jeden z nich zostaje wyłowiony z wody. Jednocześnie trwa akcja gaszenia pożarów i udzielania pomocy rannym.

Działanie przeciwnika nie ogranicza się tylko do dy-

wersji. Rozlega się wycie syren. Ogłaszany jest alarm przeciwniczy. Właśnie teraz nadchodzi najważniejszy, a dla obserwatorów z pewnością najciekawszy etap ćwiczenia. Wszystkie okręty muszą natychmiast opuścić port. Zgrupowane przy nabrzeżu stanowią bowiem bardzo łatwy cel. W ciągu niewielu sekund załoga zmieniła marynarskie mundury na ubra-

nia ochronne, przeciwcemikalne. Pierwsze jednostki już wyszły w morze. Pozostałe — na razie cumujące burtą przy burcie — są już w pełnej gotowości bojowej. Wszyscy członkowie załóg zajęli swoje stanowiska. Padają kolejne sygnały i komendy. Trałowce, okręty podwodne, szybkie kutry torpedowe i rakietowe, okręty desantowe i inne jednostki — dziś jed-

nej tuż za rufą drugiej — odbijają od nabrzeża. Podziwiać można mistrzostwo dowódców i sterników. O kolizję łatwo, a przecież nie ma czasu na utrzymywanie bezpiecznych odstępów. Akcja wychodzenia w morze przebiega jednak zgodnie z planem. Grupy okrętów udają się w wyznaczone rejony. Tam oczekiwać będą kolejnych zadań.

Zanim jednak wszystkie jednostki zdążyły opuścić port, pojawiają się nagle nieprzyjacielskie samoloty. Lecą bardzo nisko, tuż nad uchodzącymi w morze okrętami. I znowu powietrze drży od huku ładunków wybuchowych. Atakujące samoloty są doskonale szybkie. W ciągu sekund znikają gdzieś w oddali, a za moment ponownie pikują na port i

okręty. Lufy dział przeciwlotniczych kierują się w ich stronę.

DZIAŁANIA są, oczywiście pozorowane. Na samolotach łatwo rozpoznać polskie znaki. Obsługa działek p-łot nie naciska spustów i ćwiczy tylko namierzanie na cel.

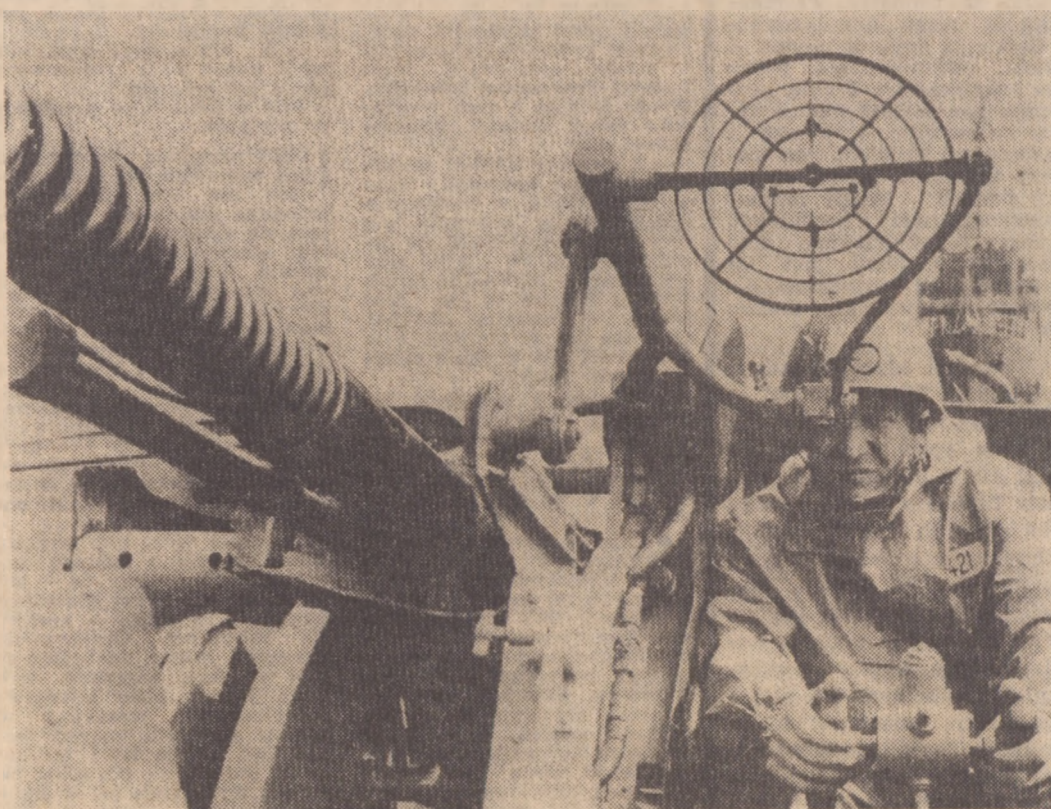
Jeszcze jeden, ostatni już nawrót myśliwców. Na pokładach kilku okrętów wybuchają pożary. Do akcji wkraczają jednostki ratownicze. Kleby dymu szybko znikają pod silnymi strumieniami wody. Nadlatują również śmigłowce, które wciągają na pokład rannych. Na jednym z okrętów wybuch nieprzyjacielskiego pocisku uwięził część załogi pod pokładem. Trzeba ich jak najszybciej uwolnić. Nie ma innego spo-

sobu jak wycięcie otworu w pokładzie. Tak też się robi. Po kilku minutach marynarze są wolni, a przebieg tej „operacji” zademonstrowano na stojącym w porcie wraku.

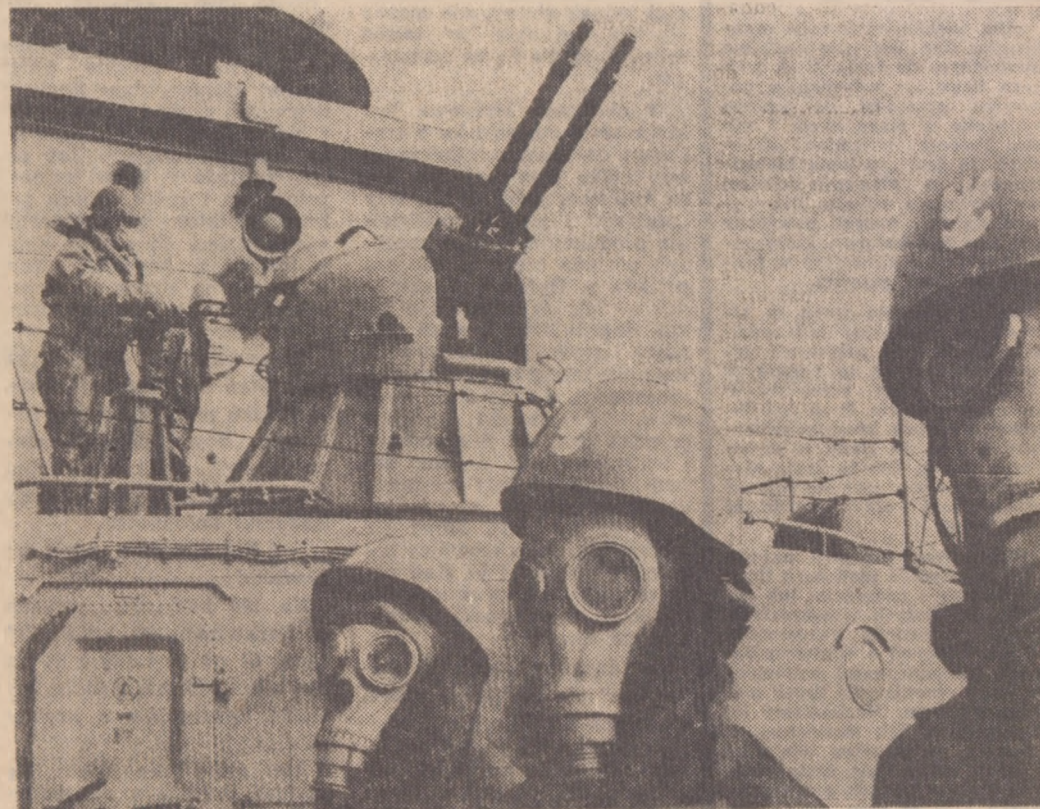
Akcia ratownicza trwa również na lądzie. Wiele roboty ma straż pożarna, likwiduje się uszkodzenia garnizonu, organizuje opiekę nad rannymi. Wkrótce sytuacja zostaje opanowana. Część okrętów wraca do portu. W ramach szkolenia następuje teraz odtwarzanie gotowości bojowej. Obserwatorom, mównicę demonstruje się załadunek amunicji. Za pomocą specjalnych samojedźnych dźwigów na kutry lądują się rakiety i torpedy. Trałowce pobiera trały i miny, a mała jednostka przeznaczona do zwalczania okrętów podwodnych — bomby

głębinowe. Odbywa się również załadunek pocisków rakietowych na okręt desantowy. Na innych jednostkach odbywają się zabiegi specjalne, m.in. odkazanie okrętów po użyciu przez przeciwnika broni chemicznej.

Dla marynarzy, podoficerów, chorążych i oficerów — zarówno tych na okrętach jak i na lądzie — był to bardzo pracowity dzień. Takie ćwiczenia są okazją do sprawdzenia jednocześnie wszystkich umiejętności, nabywanych w trakcie trudnego, zmudnego szkolenia. Wszyscy zaprezentowali się na „piątkę”. Nie ocena jest jednak najważniejsza, ale to, że do brzo służą swojej Ojczyźnie i gotowi są jej bronić, dla niej walczyć. A pokazali podczas tych ćwiczeń jeszcze raz, że potrafią.



Lufy dział przeciwlotniczych kierują się w stronę samolotów



Oddział specjalny sprawdza stopień skażenia

dzin życia dziecka. Także życia rodziców, zwłaszcza napotykanym co krok trudności.

NIEWIARYGODNE, jak często rodzicom dzieci upośledzonych ich i tak trudne rodzicielstwo dodatkowo utrudniają niewiedza, nieznajomość przepisów i brak kompetencji ze strony ludzi, którzy z urzędu powinni ich informować o przysługujących im uprawnieniach, udzielać porad, wskazywać możliwości, udzielać należytej pomocy.

Na 23 rodziny dzieci przebywających w Chomiąży zasilęk na dziecko kalekie dostaje 16 rodzin. A reszta? — Mnie lekarz powiedział, że nie wystawi za świadczenia na zasiłek, bo Maciek nie jest taki obłożny. — Lekarka w rejonie mówiła, że Marzena jest za dobra (czyta): ma za wysoki iloraz inteligencji. W rzeczywistości iloraz wynosił 45, czyli dziecku należy się zasiłek. — Nie wiedziałam, że Jackowi przysługują...

Ojciec Aldony jako mistrz zmianowy pracuje tylko na nocną zmianę, żeby móc opiekować się sześciolletnią córką. Na czas rehabilitacyjne przyjechał, żeby sprawdzić jako ojciec — czy robi dla dziecka wszystko co powinien. Gdyby nie pomoc TPD w Bydgoszczy, nie przyjechałby wcale — lekarka

rejonowa odmówiła skierowania na wczasy twierdząc, że Aldona się nie nadaje. — Ależ właśnie się nadaje — mówi mi psycholog, mgr Teresa Chachulska, która badała już dziewczynkę — jest na pograniczu upośledzenia umiarkowanego i znacznego.

Matce trzyletniego Jasia, która pracuje w szkolnej bibliotece, odmówił urlopu zarówno dyrektor szkoły, jak i wydział kadr, jak i sam kurator: nauczyciel ma prawo do urlopu wyłącznie w czasie wakacji, w żadnym innym terminie. Tłumaczyła, że turnus odbywa się wcześniej, więc nie może stracić tej szansy dla dziecka. Zresztą jej wyjazd nie spowoduje zamknięcia biblioteki, w której pozostała druga osoba. Prosiła o urlop bezpłatny, proponowała, że te dwa tygodnie odpracuje podczas wakacji. Wszystko na nic. — Po 21 latach pracy samowolnie ją opuściłam. Nie miałam innego wyjścia, muszę pomóc dziecku.

W 1976 r. kiedy Artur miał trzy lata, psycholog stwierdził opóźniony rozwój mowy i w zaświadczeniu wydanym matce napisał: „chłopiec powinien uczęszczać do przedszkola ze wskazań lekarskich”. Nie został przyjęty, bo matka nie pracuje, opiekując się również młodszym o rok Piotrusiem. W 1977 r. przed-

stawiła kolejne zaświadczenie. Z tym samym skutkiem. W 1978 r. próbowała umieścić w przedszkolu Piotrusia, który nie powinien rosnąć jedynie w towarzystwie zamkniętego w swoim świecie i bardzo trudnego w kontakcie brata, musi się stykać ze zdrowymi rówieśnikami. Znowu usłyszała: przecież pani nie pracuje. W 1979 r. użyskała tyle, że przeszło pięcioletni już Piotruś ma być wreszcie przyjęty do przedszkola. Ale nie — jak prosiła — od zaraz czy bodaj na czas, kiedy ona z Arturem wyjechała do Chomiąży, lecz dopiero od września. I nie do przedszkola mieszczącego się w osiedlu, w którym mieszkają (z okna mogłaby widzieć Piotrusia wędrującego samodzielnie), lecz do innego.

Nie uwierz, żeby przy najdrażniejszym deficycie miejsc przedszkolnych w Polkowicach nie można było wcześniej pomóc tej udrocznej kobiecie. Jej napięcie było po przyjęciu do Chomiąży tak widoczne, że jako jedyną z matek przyznano jej królewski przywilej: godzinę dziennie ma wolną. Arturem zajmuje się w tym czasie instruktor usprawniania ruchowego (z tego przywileju korzystają jeszcze tylko ojcowie Aldony i Beniamina, których trzeba było jakoś wyróżnić za to, że przyjechali tu z dziećmi sami).

WSZYSTKO, o co pytają — a są to pytania tygumne, powracające na każdym turnusie, kadze znane na pamięć — ktoś dawno powinien im być powiedziane. Na ogół jednak słyszą tylko diagnozę-wyrok. Nierzadko z komentarzem: — nic się na to nie poradzi. Bardzo niewielu pediatrów orientuje się w podstawowych problemach upośledzenia umysłowego, zna jego przyczyny, perspektywy rozwoju dziecka upośledzonego, możliwości rehabilitacji. Rodzice po wizycie u lekarza lub psychologa wiedzą więc tylko samo co przed nią: że dziecko odbiega od normy. Nikt im nie udziela wskazówek co mają robić, jeśli dziecko nie mówi w określonym czasie, miewa napady lęku, nie umie gryźć pokarmu, bawić się piłką (stad ta lawina pytań zaczynających się od JAK?). Nikt nie informuje, jakie przysługują im uprawnienia, gdzie czego szukać, o co się starać. Tymczasem, jeśli się zaniedba działalność profilaktyczną wtedy, kiedy dzieci są małe, w przyszłości część z nich nie nada się ani do szkoły życia, ani do pracy.

Podczas spotkania w klubie na część pytań odpowiadali sami rodzice, ci bardziej doświadczeni, lepiej zorientowani, np. dzięki kontaktowi

z warszawskim Ośrodkiem Konsultacyjnym (także prowadzonym przez mgr Mru-galską). Z reszty pytań wyłoniły się tematy i cały plan seminariów, od usamodzielnienia dziecka przez specjalistyczną pomoc lekarską (dzieci upośledzone umysłowo często mają dodatkowe kalectwa, łatwo też ulegają infekcjom), aż po system służb oświatowych, uprawnień, znaczenie zabawy itd.

— Czy państwo wolą, żeby seminaria odbywały się codziennie, czy co drugi dzień? — padło gdzieś koło północy pytanie.

— Codziennie! Przecież przyjechalśmy tu po to, żeby się mogliśmy najwięcej dowiedzieć i nauczyć.

Jednym z ważnych celów tych czasów — nie wczasów jest terapia dla rodziców, polegająca na ukazaniu im perspektyw oraz przedstawieniu istniejących możliwości. Żeby wiedzieli, że niezależnie od tego, jak dziecko będzie się dalej rozwijać, jakaś forma pomocy się dla niego znajduje — jeśli nie przed szkołą specjalną, to kolonij, jeśli nie szkoła życia, to ośrodek dzienny. I żeby się wyżyli przekonania, z jakim często przyjeżdżają na turnus, że są zupełnie sami, zdani wyłącznie na siebie, że nikt im nie pomoże. Mgr Mru-galska nazywa to stwa-

rzaniem poczucia bezpieczeństwa społecznego.

Podobno istnieją trzy stadia akceptacji inwalidztwa (własnego lub dziecka). Pierwsze: jestem nieszcześliwy, pomóżcie. Drugie: jestem nieszcześliwy, ale mogę tak-że zrobić coś sam. Trzecie: mogę sobie sam radzić i jeszcze pomóc innym. Niektóre matki w ciągu dwóch tygodni przechodzą wszystkie trzy stadia. Te, które mają za sobą któryś z poprzednich turnusów, zorganizowały nowe koła PDST w Koninie i Włocławku. Ruszyły działalność na rzecz małych dzieci w istniejących już kołach w Gdańsku, Sandomierzu, Szczecinie i Warszawie. W dwóch ostatnich miastach stworzyły świetlice konsultacyjne... Rozbudzone potrzeby i okazana pomoc wyzwalają inicjatywy i energię, których istnienia nikt nawet nie podejrzewał.

Piątego dnia turnusu oglądam rozwieszone w jadalni bardzo kolorowe prace dzieci: mozaiki, wydzieranki, wspaniałe mazaje malowane całą dłonią. Na jednym z kartonów rozpoznaje odciśnięty ślad małej, pokrytej, straszliwymi bliznami po poparzeniach, łapiny Roberta (zapamiętałam, kto jakim kolorem umazany był najbardziej), na innej kwiat namalowany przez ciągle zaleknioną Agnieszkę. I przypomina

mi się historia, jaką przytoczyła rodzicom mgr Mru-galska, odpowiadając na pytanie, czy i jak reagować na raniące uwagi otoczenia. Otoż podczas kręcenia przez telewizję filmu w Ośrodku Konsultacyjnym jeden z członków ekipy zobaczywszy pracę plastyczną dzieci wykrzyknął: — To niemożliwe! To przecież człowiek zrobił. — A pan myślał, że dziecko upośledzone to nie człowiek? — spytała kierowniczka Ośrodka.

Tu w Chomiąży nic takiego zdarzyć by się nie mogło. Cały personel odnosi się do dzieci zyczliwie i ze zrozumieniem. Do rodziców z uznaniem i szacunkiem.

— Od pierwszego dnia ich obserwuję — mówi kierownik Ośrodka w Chomiąży, pan Stefan Teter — i podziwiam ich cierpliwość i samozaparcie. Krok w krok chodzą z dziećmi. A dzieci mają tu naprawdę raj: las, jezioro, piasek i trawa, plac zabaw i pełna swoboda, bo cicho i bezpiecznie. Nie, żadnych dodatkowych kłopotów nie przysparzają. Jeśli więc TPD zechce w przyszłości zorganizować tu kolejne turnusy, chętnie ofertę przyjmujemy.

I to jest jeszcze jeden, trudny do przecenienia zysk społeczny tych wczasów — nie wczasów,

